

— | | —  
— Coś mnie się zdaje, że czereśnie będą w tym 7  
roku spore jak końskie jaja – stwierdził Honza. -----

— Dziwna pora... – myślałem na głos.

Wicio nic nie mówił, bo był głuchoniemy, więc nie miał takiej możliwości, ale rozumiał.

— Dziwny czas, tak ogólnie – filozofował Honza.

Wiedziałem, co chce przez to powiedzieć. Że przestały nas interesować jakieś tam czereśnie. Kiedy człowiek skończy szesnaście lat, dość wyraźnie zmieniają mu się gusta.

■ Jeśli akurat nie ganiałem gdzieś z chłopakami, najbardziej lubiłem siedzieć w pracowni. Właśnie tu ulepiłem wszystkie postaci, o których dalej będzie mowa; bo taką już mam szajbę, wyobrażam sobie ludzi w mniejszej perspektywie, żeby lepiej zrozumieć to i owo. Mam tu Břečkę, głuchoniemego Wicia, Dolinę i resztę, z Bedziem i moją mamą włącznie, znalazło się też miejsce dla postaci w zasadzie epizodycznych, jak pewien towarzysz Rozhoň. To coś w rodzaju mojego prywatnego zbioru laleczek

— | | —

wudu, ale bez tych wszystkich szamańskich trików, bez włosów czy paznokci, poza tym nie zamierzam przekłuwać nikogo szpilką, chociaż nie mówię, że niektórym by się nie należało. Nie wiem zresztą, skąd wziąłbym włosy i paznokcie. Zależałoby mi faktycznie może na kilku włoskach łonowych jednej  
----- 8 Daniela, ale nie żeby je potem przyklejać do figurki (właśnie trzymam w ręku figurkę Daniellę i zastanawiam się, co z nią począć), tylko na pamiątkę, miałem bowiem okazję widzieć je na żywo, mało tego, miałem szczęście i zaszczyt je muskać. Siedzę sobie obok marszałka Rybałki, patrzę na glinianą kobitkę Fábery, która ma na imię Hebe, i rozważam, czy problem w tym, że w ostatnich tygodniach wydarzyło się za dużo, czy raczej za mało, bo mam kłopot z uporządkowaniem sobie wydarzeń we własnej łepetynie, a muszę to zrobić, by wam o nich opowiedzieć. W dojściu do ładu mają mi pomóc te mizerne figurki. Swoją drogą można uznać za cud, że udało im się przetrwać w pracowni, w królestwie mojego ojczyrna, ale to też trochę moja zasługa: zawsze troskliwie gdzieś je chowałem, jakbym przeczuwał, że w tym miejscu pewnego dnia dojdzie do niezłej awantury. No więc, nie chwalać się, po prostu uratowałem nędznym posażkom życie, teraz mogę ustawić je w równiutkim rzadku i pomiatać nimi tak samo, jak wcześniej pomiataly mna

ich ludzkie prototypy. Jest tu nawet mały Alešek i dr n. prawn. Stoklasa, słowem wszyscy, których spotkałem przed wakacjami. A ponieważ cała historia kończy się na Bedziu, od Bedzia musi się zacząć.

■ Obawiam się, że mój ojczym nie miał najlepszego startu, kiedy ostatnio wypuścili go z odwyku. Słono zapłacił za swoją skandaliczną nieznamość tematu w całkiem, na oko, bezpiecznej cukierni, którą przypadkiem mijał w drodze do domu. Stał przy ladzie, niepewnie przestępując z nogi na nogę, i bezradnie patrzył na ekspedientkę (ponoć sama wyglądała jak rurka z kremem z przyszytymi uszami), która mrugała do niego porozumiewawczo i z uśmiechem szeptała, że właśnie przywieźli świeże bajaderki i torciki Dobosza. A on – spec od najdziwniejszych mieszanek wysokoprocentowych, z Wiedeńskim Taksówkarzem<sup>1</sup> i Żiżkowską Łyżwą<sup>2</sup> włącznie – stał jak głupi, rozglądał się i próbował sobie wyobrazić, jak też może wyglądać taka bajaderka.

– Sam nie wiem... – powtarzał – sam nie wiem, poproszę może o tamto... – Machnął ręką w stronę kryształowych misek pełnych bananów.

A że bardzo mu ten deserek posmakował, zamówił jeszcze jeden, potem jeszcze kilka razy, aż

---

\* Wszystkie przypisy znajdują się na stronach 224–226.

w końcu runął jak długi, wprost pod stół z marmurowym blatem, i leżał tak do przyjazdu policji, której przerażona rurka z kremem meldowała, że „pan wziął dziesięć razy pijane banany, choć polecała świeże bajaderki i torciki Dobosza”. Policjanci chyba mieli dobry humor, bo zawieźli bełkoczącego ojczyzna do domu, oczywiście nie do samego mieszkania, tylko przed kamienicę.

– O kurde! – gwizdnął mój kumpel Břečka, widząc, jak ojczym pełźnie po chodniku. – Skoro tak wygląda po odwyku, powiedz ty mi, jak wyglądał przed nim?...

■ W Instytucie Badawczym zapiał kogut. Ten dźwięk budzi mnie każdego ranka. Każdy nowy dzień witam z ptakiem, którego nigdy nawet na oczy nie widziałem, z jakimś opierzonym krzykaczem, co go trzymają w niewoli i robią na nim wszelakie eksperymenty. Zawsze wyobrażam sobie tego biedaka podłączonego do przeróżnych rurek, być może został z niego już tylko mózdzek z grzebieniem i dziobem, wszystko pływa zanurzone w specjalnym roztworze. A nad nim stoi szalony naukowiec i bada, dlaczego ptaszysko nadal pieje co rano. Břečka, którego matka tam robi, mówi, że w tym instytucie wszyscy chleją jak opętani („prócz mojej mamy”, mówi) i sami produkują wódę, bo mają do dyspozycji

dosłownie morze czystego spirytusu. Opowiadał, że raz balowali całą noc i udało im się odkryć coś, nad czym głowili się wcześniej od dobrych dziesięciu lat. Ponoć wynaleźli jakąś rewelacyjną substancję, za którą na bank dostaliby Nobla, tyle że rano za skarby świata nikt nie mógł sobie przypomnieć, czego nawrzucali do tej magicznej mikstury – tacy byli nawaleni. Podobno od czasu do czasu podejmują kolejne próby (to znaczy organizują kolejne całonocne maratony) i modlą się, żeby znów się udało, ale jak na razie jakoś im nie wychodzi.

Zawsze, kiedy słyszę pianie koguta, myślę sobie: „Jeszcze cię nie zeżarli, cholero, jeszcze nie pływasz w rosole, póki co nie jest źle...” – a mam na myśli tak jego, jak i siebie. Od razu lepiej mi się wstaje, cieszę się, że wszystko jest na swoim miejscu, że kogutek wciąż jest obecny w moim życiu. Nim wyjdę do szkoły, próbuję przy śniadaniu rzucić, tak tylko mimochodem, że wychowawczyni zmarła śmiercią nagłą i że mamy wolne, ale nikt mi nie wierzy. Mimo to zawsze próbuję. Sprawdzam, na ile mogę sobie pozwolić. Jak mi się nie uda – to nic. Okej. Zapominam o sprawie. Przyznam się wam, że niezły ze mnie kłamczuch. I gdy sobie czasem o tym myślę i zastanawiam się: „Dlaczego u diabła to robię?” – nie potrafię znaleźć żadnego rozsądnego wytłumaczenia. Gdyby to jeszcze było tak, że zmyślam, jak

większość ludzi – znaczy się raczej od święta i tylko w sytuacjach, kiedy muszę coś ukryć – to jeszcze zrozumiałe, ale ja chyba zmyślam dlatego, że mnie to bawi. Ot zwyczajnie, dla zasady.

Każdego ranka w drodze do szkoły przechodzę koło instytutu, zatrzymuję się przed jego wysoką, żelazną bramą i wypatruję pawia, który przechadza się od czasu do czasu po ichniejszym ogrodzie. Wierzę, że jeśli go zobaczę, będę miał fuksa przez cały dzień. Parę razy – no dobra, trochę więcej niż parę – pawia nie było i tak się zdenerwowałem, że w efekcie nikt tego dnia nie zobaczył w szkole mnie. Tak więc widzicie przed sobą największego wagarowicza, jakiego mieliście okazję w życiu spotkać. Wychowawczynie mawia, że „siedzę na beczce prochu”. Waszym zdaniem to możliwe? Pewnie, że tak. Wszystko jest możliwe. To, jaką dostaniesz ocenę, w ostatniej kolejności zależy od ciebie. Lepiej zostawić sprawę innym i w ogóle nie zawracać sobie głowy. Odkryłem bowiem, że zwykle na jedno wychodzi – czy człowiek przeżywa i nie śpi po nocach, czy zbija bąki z rękami w kieszeniach – nic nie zależy od nas. Przykład? Raz zgłasza się Tomáš, kolega z klasy:

– Psze pani, czy mógłbym poprawić ocenę z matematyki?

No i se poprawił. Na tróję. Na tróję poprawił.

– Na chuj się wychylałeś?! – mówię mu. – Mało ci było czwórka?

Tomáš nie jest złym uczniem, po prostu wiele spraw do niego nie dociera. „Kukuryku!!!” – zrobiłby kogut.

– To gruba i mądra książka! – zachwalała niedawno wychowawczynie.

13  
-----

Ja jej na to:

– Nie wszystko, co grube, zaraz musi być mądre...

Teraz powinniście się byli roześmiać, ale przecież nie znacie naszej wychowawczynie. Ten tekst był bowiem aluzją do dobrych stu pięćdziesięciu kilo, jakie reprezentuje sobą owa niewiasta. Kiedy już klasa przestała się śmiać, usłyszałem tylko:

– Nie żebym chciała się mścić, zapraszam do tablicy... i tak miałam cię dzisiaj przepytąć.

Dostałem rozbiór zdania, no i klops. A potem wymyśliła dla mnie kolejną torturę. Kazała mi przy całej klasie napisać list do rodziców. Wyobrażacie sobie?! Chodziła tam i nazad i dyktowała:

– Kochana mammo! Kochany tato! (zaczynało się jak kartka z obozu harcerskiego). Stawcie się, proszę, u mojej wychowawczynie, bla, bla, bla, w sprawie mojej promocji do następnej klasy, bla, bla, bla...

No to ja, żeby nie było za nudno, trochę podkoloryzowałem.

– Gotowe?! – Wyrwała mi z ręki kartkę, na której widniało: – *Kochana mamo! Kochany ojczymie! Jesteśmy niezwykle radzi, że jako pierwsi możemy przekazać radosną nowinę, iż syn Państwa został wytypowany do badań longitudinalnych dla jednostek wybitnie uzdolnionych. Nasza szkoła bezzwłocznie rozślawi jego imię. Gratulujemy i dziękujemy Państwu za tego wspaniałego chłopca! Prof. wychowawczyni M. Mrázková.* – Ona czytała, ja obserwowałem, jak toczy pianę z ust.

■ Moja matka nie ma lekko z Bedřichem. Bedřich to mój ojczym, rzeźbiarz i straszny moczymorda. Książkowy...

– Co będzie z tym twoim piciem, Bedřichu?! – pyta niedawno matka z rozpaczą w głosie, i wiecie, co on na to?

– No... nie wiem... mam jeszcze jakieś drobne, ale chyba sama musisz skoczyć do sklepu, jestem zajęty – odpowiedział, nawet nie odrywając wzroku od głowy, którą miał przed sobą na toczku.

Matka nie ma z nim lekko. Mój prawdziwy tata, w przeciwieństwie do ojczyma, daleko zaszedł, bo jest *grubą rybą*. Jeździ po świecie i zna pełno sławnych ludzi. Matka jest architektem i niechętnie mówi o ojcu. Jednak ja wiem, co się między nimi wydarzyło. Ojciec znalazł sobie młodszą. Dawno



temu. Będzie już z sześć lat. Bedřich mieszka z nami od pięciu. Co do tego akurat nie mam wątpliwości, bo dobrze pamiętam nasze pierwsze spotkanie i to, że miałem wtedy jedenaście lat.

– Jestem Bedzio! – „No dobra”, myślę. – Mów mi po imieniu! – No to mówię.

Mój ojciec też pił, bo „musiał prowadzić życie towarzyskie”, jak wspomina z gorzkim uśmiechem matka, ale gdzie mu do Bedzia, który właściwie cały czas jest na bani. Czasem próbuje nie pić, jednak zwykle wytrzymuje tylko parę dni, no, może tygodni, a potem znowu cug. Wcześniej ponoć „dobrze się zapowiadał” i był numerem jeden od „głów” – zasłyszałem to od matki, która mówi, że wróżyli mu świetlaną przyszłość, tymczasem sprawy potoczyły się ciut inaczej, bo Bedzio nie chciał się zaangażować politycznie, ponieważ nienawidzi komunistów, a im bardziej ich nienawidził, tym więcej chlał, a żeby mieć na chlania, musiał robić okropne rzeczy. W czasie, o którym mowa, mieliśmy całe mieszkanie pełne „świnek na szczęście”, bo Bedzio zgadał się wtedy z drugim moczymordą, rzeźbiarzem Fáberą, który wytrzasnął skądś formę do tych swinek. Bedzio je produkował. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, stały pudła z tymi różowymi, świecącymi się jak psu jajca potworkami. Nie wiem, jak innym, ale ani ojczymowi, ani Fáberze nie przyniosły zbyt

dużo szczęścia. Moja matka miała takie uczulenie na Fábere, że kiedy tylko stawał w drzwiach, od razu ubierała się i wychodziła. Był z niego wiecznie pokaszujący, mały gość z poźółkłym od nikotyny wąsikiem i zdawało mu się, że jest cholernie dowcipny, gdy rzucał zdania w stylu: „*Madame*, czy nie miałyby pani nic przeciwko, bym się na momencik u was zadekował?”. Ja go nawet lubiłem. Podobały mi się jego rozbiegane, bystre oczy. Kiedy się ze mną żegnał, nigdy nie zapominał rzucić: „Życie to gra, no to pa!”, i być może nawet się roześmiałem, jak powiedział tak po raz pierwszy, potem już nie. Bedzio opowiadał, że raz, gdy Fábiera wrócił w nocy do domu, chciał być cicho jak myszka, żeby nie obudzić żony, bo to było jeszcze w czasach, w których byli małżeństwem, czyli nim go wywalila na zbity pysk. Ostrożnie otworzył drzwi, tyle że już w przedpokoju zatoczył się i wyrzwał dupskiem prosto na podłogę. I pewnie nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie setka rumu, którą miał w tylnej kieszeni spodni. Rozbiła się i tak mu pocięła tyłek, że zakrwawił nie tylko spodnie, ale i linoleum. Wszystko dokładnie posprzątał, zakleił tyłek i położył się do łóżka.

– Niestety rano – śmiał się Bedzio – żona go budzi z wrzaskiem: „Aleś się wczoraj urżnął!!!”. „Ale co? Ale jak?”, myśli Fábiera. „Przecież dokładnie

posprzątałem!...”. „Jak to urznął?”, bronił się. „Co jak to? A kto niby przykleił ten krzyżyk z plastra na lustro?!”, krzyczała – i w tym momencie Bedzio wybuchnął śmiechem, śmiał się tak głośno, że roześmiała się nawet mama. A to już naprawdę coś. Mama ma na imię Jana...

17

■ Tamtego dnia chciałem posiedzieć w domu, jednak atmosfera zrobiła się za gęsta, wołałem więc zabrać dupę w troki. Matka ciągle była wkurzona na Bedzia za to, w jakim stanie wrócił. Teraz powoli dochodził do siebie, bo się przespał i wykapał, ale matka nazwała jego drzemkę „gniciem w łóżku”, a kąpiel „blokowaniem łazienki” i każdym spojrzeniem okazywała, że nie zamierza zbyt szybko dać się udobruchać. Bedzio z początku próbował się tłumaczyć i dość długo znosił jej fochy, w końcu sam się nabzdyczył. Siedziałem z nim na kanapie i oglądaliśmy jakiś teleturniej. Bedzio odpowiadał na wszystkie pytania wcześniej niż zawodnicy, czym według mnie chciał udowodnić matce, że jest nie tylko mądrzejszy od niej, ale w ogóle najmądrzejszy na świecie. Mama prasowała, stojąc za naszymi plecami. Kiedy kropiła wodą jakiś obrus czy coś, kilka kropelek wleciało ojczymowi za kołnierz.

– Może byś tak uważała? – jęknął boleśnie Bedzio i w dowód tego, jak brutalnie został potraktowany,